

PETER JAMES

DOM NA WZGÓRZU

MÓWILI, ŻE MARTWI NIE MOGĄ CIĘ SKRZYWDZIĆ.
MYLILI SIĘ.



1

– Daleko jeszcze?

Johnny, z tłącym się cygarem w ustach, popatrzył we wsteczne lusterko. Kochał swoje dzieciaki, ale Felix, który właśnie skończył osiem lat, potrafił być irytującym bachorem.

– Pytasz trzeci raz w ciągu dziesięciu minut – odpowiedział głośno, przekrzykując *Sunny Afternoon* Kinksów, które donośnie rozbrzmiewało w radiu.

Wyjął cygaro z ust i zawtórował zespołowi: *The tax man's taken all my dough and left me in my stately home...*

– Chce mi się siusiu – odezwała się Daisy.

– To co? Daleko jeszcze? – znów jęknął Felix.

Johnny posłał szeroki uśmiech Rowenie, która wygodnie rozparła się na olbrzymim siedzeniu pasażera w czerwono-białym cadillacu eldorado. Sprawiała wrażenie absurdalnie szczęśliwej. Zresztą w tej chwili wszystko było absurdalne. Ten klasyczny potwór z 1966 roku, z kierownicą po lewej stronie, nie nadawał się na wąskie wiejskie drogi, ale Johnny'emu podobał się jego efekciarski wygląd, a w swojej pracy promotora muzyki rockowej przywiązywał dużą wagę do efekciarstwa. Równie absurdalny – i nie na żarty efekciarski – był ich nowy dom. Rowena była nim zachwycona. Wyobrażała sobie siebie za kilka lat jako panią na

włościach, która organizuje wielkie przyjęcia. Było w nim coś wyjątkowego. Jednak najpierw wymagał solidnego remontu i mnóstwa troski.

Kupili ten dom pomimo opinii rzeczoznawcy, na którą składało się dwadzieścia siedem stron ponurych prognoz. Całkowicie przegniłe ramy okienne, dach do wymiany, duże plamy wilgoci oraz niebezpiecznie zmurzałe belki w piwnicy i pod dachem. Lecz wszystko da się naprawić dzięki dużej kasie, którą Johnny obecnie zarabia.

- Tato, możemy otworzyć dach? – spytał Felix. – Możemy?
- Za bardzo wieje, kochanie! – odpowiedziała Rowena.

Chociaż jasne późnopaździernikowe słońce świeciło im prosto w twarz, hulał potężny wiatr, a na horyzoncie zbierały się burzowe chmury.

- Dojedziemy za pięć minut – oznajmił Johnny. – Już jesteście w wiosce.

Minęli tablicę z napisem COLD HILL – ZWOLNIJ i okrągłe znaki z ograniczeniem prędkości do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ustawione po obu stronach drogi, a następnie przemknęli po łukowym moście, mijając boisko do krykieta, które znajdowało się po lewej stronie. Po prawej stał zaniedbany normański kościół. Był nieco oddalony od drogi, ale dumnie nad nią górował. Ładny cmentarz, otoczony niskim kamiennym murem, wypełniały rzędy zniszczonych nagrobków, z których wiele się poprzekrzywiało, a część skryła się pod rozłożystymi gałęziami potężnego cisu.

- Czy tam są umarli, mamo? – spytała Daisy.

- Tak, kochanie, przecież to cmentarz. – Rowena zerknęła na niski kamienny murek.

Daisy przycisnęła twarz do szyby.

- Tam trafimy po śmierci?

Ich córka miała obsesję na punkcie śmierci. W poprzednie

wakacje wybrali się na ryby do Irlandii, ale dla sześciolatniej Daisy największą atrakcją wyprawy była wizyta na cmentarzu, na którym odkryła, że może zajrzeć do niektórych grobowców i zobaczyć kości.

Rowena się odwróciła.

– Porozmawiajmy o czymś weselszym, dobrze? Cieszysz się, że zamieszkamy w nowym domu?

Daisy przytuliła pluszową małpkę.

– Tak – odrzekła nieco niechętnie. – Być może.

– Tylko być może? – spytał Johnny.

Minęli rząd wiktoriańskich szeregowców, nieciekawych pub Pod Koroną, kuźnię, pensjonat oraz wioskowy sklep. Droga wiała się stromo pod górę między wolno stojącymi domami i bungalowami różnych rozmiarów. Ze wzgórze w ich stronę mknęła, nie zwalniając, biała furgonetka. Johnny zaklął i czym prędzej zjechał potężnym autem na lewą stronę, ocierając się o zarośla; furgonetka minęła ich o centymetry.

– Chyba będziemy potrzebowali innego samochodu do naszego wiejskiego życia – zauważyła Rowena. – Czegoś bardziej rozsądnego.

– Nie lubię rozsądnych rzeczy – odparł Johnny.

– Zauważyłam! Właśnie za to cię kocham, mój drogi! Ale kiedy zacznie się nowy semestr, już nie będę mogła pieszo odprowadzać dzieci do szkoły za rogiem. A w tym aucie nie podjadę pod szkołę.

Johnny zwolnił i włączył prawy kierunkowskaz.

– Jesteśmy na miejscu! Rodzina O'Hare'ów przybyła!

Po prawej stronie, naprzeciwko czerwonej skrzynki na listy, stały dwa kamienne słupy zwieńczone rzeźbami złowrogich wiwern, a między nimi znajdowała się otwarta zardzewiała brama z kutego żelaza. Pod dużą tablicą agencji nieruchomości Strutt and Parker, z napisem „Sprzedano”, przytwierdzony do

prawego słupa wisiał mniejszy, ledwie czytelny szyld oznajmiający: DOM COLD HILL.

Johnny skręcił i na chwilę zatrzymał samochód, wypatrując we wstecznym lusterku furgonetki firmy przeprowadzkowej; w końcu zauważył ją jako malutką, ociężałą sunącą plamkę w oddali. Ruszył dalej po stromym i krętym asfaltowym podjeździe pełnym dziur. Po obu stronach ciągnęło się metalowe ogrodzenie, za którym na pochyłej łące pasły się owce. Cały ten teren wchodził w skład posiadłości, ale był dzierzawiony jednemu z miejscowych rolników.

Niecałe pół kilometra dalej podjazd gwałtownie zakręcił w prawo i przejechali po kratownicy nad rowem powstrzymującym bydło. Kiedy dotarli do pokrytego żwirem płaskiego obszaru na szczycie wzgórza, ich oczom ukazał się dom.

– To on? – spytał Felix. – Ojej! Ojeeej!

– Prawdziwy pałac! – pisnęła z zachwytem Daisy. – Będziemy mieszkali w pałacu!

Przednią część domu zdobiła georgiańska fasada o klasycznych proporcjach, z pełnym zacieków, szarym surowym tynkiem na wysokości trzech albo czterech kondygnacji, jeśli liczyć piwnicę. Ponad werandą wznosił się balkon wsparty na kolumnach. „To jak superelegancka wersja balkonu Julii!”, zakrzyknęła Rowena, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Po drugiej stronie znajdowały się wysokie okna przesuwne oraz dwa okna mansardowe w dachu pokrytym płytkami łupkowymi.

Po lewej stronie budynku stała, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, wieża z blankami i oknami na samym szczycie, po prawej stronie zaś piętrowa dobudówka, którą – według słów agenta – dodano sto lat po wybudowaniu głównej części domu.

– Kto to jest? – odezwała się Rowena, wskazując jedno z okien.

– Słucham? – spytał Johnny.

– W tamtym oknie stoi kobieta... na poddaszu... patrzy na nas.

– Może sprzątaczkę jeszcze nie wyszły. – Zerknął przez przednią szybę. – Nikogo nie widzę.

Samochód zakolysał się pod wpływem wiatru i dziwnie zimny podmuch wpadł do wnętrza. Johnny z szerokim uśmiechem zaparkował przed werandą, wepchnął cygaro w usta, pyknął i oznajmił zza chmury dymu:

– Jesteśmy na miejscu, kochani! Nie ma jak w domu!

Niebo nagle pociemniało. W górze rozległ się odgłos, który niepokojąco przypominał grzmot.

– Mój Boże – zawołała Rowena, sięgając do klamki. – Wysiadajmy, szybko.

Kiedy to powiedziała, pojedyncza płytkę zaczęła się zsuwać z dachu, po drodze pociągając za sobą kolejne, co wywołało małą lawinę. Ostre jak brzytwa płytki przebiły zardzewiałą rynnę, po czym, nabierając prędkości, spadły na dach cadillaca i rozplątały materiał. Jedna ucięła Rowenie prawą rękę, kolejna rozłupała Johnny'emu głowę na dwoje, niczym ostrze siekiery uderzające w polano.

Rowena i dzieci zaczęli krzyczeć, a wtedy kawałki obmurowania posypały się na nich jak deszcz, rozdzierając dach, miażdżąc im czaszki i kości. Następnie ze szczytu fasady runęła wielka kamienna płyta i wylądowała na pozostałościach dachu, zgniatając samochód, urywając mu koła i zmieniając czworo pasażerów w poskręcaną papkę z mięsa, kości i krwi.

Kilka minut później, kiedy furgonetka firmy przeprowadzkowej wspięła się na wzgórze, kierowca i jego ekipa zobaczyli tylko niewielką stertę kamieni, płytek i drewna. Ponad wycie wiatru wybijał się monotony ryk klaksonu.

2

Piątek, 4 września

Ollie Harcourt był niepoprawnym optymistą. Zawsze uważał, że szklanka jest do połowy pełna, i wierzył, że wszystko się ułoży. Miał trzydzieści dziewięć lat, surową, ale przystojną twarz i potarganą czuprynę. Nosił eleganckie okulary, wyciągnięty kardigan, workowate dżinsy, obuwie robocze Wolverine i zegarek IWC.

Caro była jego dokładnym przeciwieństwem. Trzy lata młodsza, z elegancką ciemną fryzurą, ubrana w nowiutką niebieską kurtkę Barbour, obcisłe spodnie i czarne zamszowe buty. Zawsze miała strój stosowny do sytuacji, zarówno w biurze, jak i teraz, tego mokrego i wietrznego wrześniowego poranka, gdy ubrała się – może nieco zbyt idealnie – z myślą o wyprawie na wieś. Od urodzenia zwykła wszystkim się przejmować, ale od dwunastu lat, od chwili przyjścia na świat ich córki, Jade, zamartwiała się coraz bardziej. Podczas gdy mantra Olliego brzmiała: „Hej, wszystko się ułoży”, Caro wyznawała wiarę: „Wszystko się sypie”.

Miała rację. Pracowała jako radca prawny w kancelarii w Brighton, specjalizując się w sprawach notarialnych. Mało kto odwiedza prawnika dlatego, że jest zadowolony. Caro codziennie musiała się spotykać, rozmawiać przez telefon i kontaktować

mailowo z klientami, których niepokoiły formalności związane z kupnem bądź sprzedażą domu, często na skutek burzliwych rozwodów albo równie burzliwych rodzinnych kłótni o spadek. Tak bardzo się tym przejmowała, że każdego wieczoru, a nierzadko także w weekendy, zabierała problemy klientów do domu, nie tylko w teczce, ale także w swoim sercu.

Ollie żartował, że gdyby zamartwianie się było dyscypliną olimpijską, Caro mogłaby reprezentować Wielką Brytanię.

Nie uważała tego za zabawne, zwłaszcza teraz, gdy Ollie ciężko pracował nad rozkręceniem swojego biznesu w branży projektowania stron internetowych, a ona wzięła na siebie ciężar utrzymania rodziny. Właśnie jechała do ich nowego domu w wielkim dniu przeprowadzki i chociaż była podekscytowana, jednocześnie przytłaczały ją zmartwienia. Czy nie wzięli zbyt dużo na swoje barki? Czy, jako urodzony mieszcuch, poradzi sobie z życiem w stojącym na uboczu wiejskim domu? Co Jade o tym myśli? Poza tym wolałaby, żeby Ollie nie jechał tak szybko. Zwłaszcza w takiej ulewie, z którą wycieraczki ledwie sobie radziły.

- Tu jest ograniczenie do pięćdziesięciu kilometrów, kochanie!
- ostrzegła, kiedy zbliżyli się do tabliczki z napisem COLD HILL.
- Mogą gdzieś stać z radarem. Nie byłoby dobrze, gdyby już pierwszego dnia wszyscy zobaczyli, jak zatrzymuje nas policja.
- Cykor! - odpowiedział Ollie, beztrąsko ignorując jej ostrzeżenia.

Range rover na chwilę wzbił się w powietrze nad łukowym mostkiem.

- To było słabe, tato! - zawołała Jade, podskakując na tylnym siedzeniu i z trudem utrzymując iPhone'a oraz stojące obok niej klatki z dwoma kotami.

Minęli boisko do krykieta po lewej stronie, a potem normański kościół po prawej. Przykościelny cmentarz pokrywały opadłe

liście. Wspięli się na wzniesienie, zostawiwszy za sobą kilka domków – na jednym wisiał odręcznie wypisany szyld: „Wiejskie jajka” – nieciekawy pub Pod Koroną, kuźnię, pensjonat i wioskowy sklep. Wreszcie, kiedy przejechali obok rzędu wolno stojących domów i bungalowów oraz małego domku na lewo od drogi, Ollie gwałtownie zahamował.

– Tato! – ponownie zaprotestowała Jade. – Bombaj i Szafir się denerwują! – Po czym znów skupiła się na zdjęciach dokumentujących ich podróż do nowego domu, którymi dzieliła się na Instagramie.

To Ollie żartobliwie zaproponował, żeby nazwać koty ku czci ginu Bombay Sapphire, a imiona tak bardzo spodobały się Jade i Caro, że przy nich pozostali.

Po prawej stronie, naprzeciwko czerwonej skrzynki na listy, częściowo przesłoniętej przez zaniedbany żywopłot, stały dwa kamienne słupy zwieńczone rzeźbami złowrogich wiwern, a między nimi znajdowała się otwarta zardzewiała brama z kutego żelaza. Duży szyld, który był w znacznie lepszym stanie niż słupy i brama, dumnie głosił: „Agencja nieruchomości Richards – sprzedane!”.

Ollie zatrzymał samochód i włączył prawy kierunkowskaz. Ze wzgórze, z niemal szaleńczą prędkością, mknął w ich stronę ciągnik z przyczepą, z której sypały się żdźbła słomy. Minął ich zaledwie o centymetry, a wtedy Ollie wjechał przez bramę i ruszył stromym, krętym podjazdem o dziurawej nawierzchni, po którego obu stronach ciągnęło się zniszczone ogrodzenie. Po jednej stronie stało stado ponurego brązowo-białego bydła; po drugiej rozpościerała się łąka pełna alpaka. Samochód kołysał się i podskakiwał, a Jade ponownie się poskarżyła, ale po chwili zobaczyła zwierzęta.

– Ojej, co to jest?

– Lamy – odpowiedziała matka.

– Chyba alpaki! – rzekł Ollie. – Są mniejsze.

– Jakie słodkie! – Jade przez jakiś czas patrzyła na zwierzaki, a potem znów skupiła uwagę na ekranie.

Czterysta metrów dalej przejechali po grzechoczącej kratownicy nad rowem do zatrzymywania bydła i wtedy zobaczyli dom. Ollie zwolnił, nie dowierzając, że właśnie tutaj będą teraz mieszkali. Dom wyglądał niemal magicznie, ale z nutką melancholii. Ollie miał wrażenie, że cofnęli się w czasie co najmniej o sto lat. Oczami wyobraźni widział konny powóz podjeżdżający pod wejście. Zupełnie jakby znalazł się wewnątrz romantycznej powieści albo filmu, na przykład w posiadłości Manderley w *Rebecce*.

Zatrzymał auto na chrzęszczącym omszałym żwirze, za volkswagenem golfem Caro, którego zostawili tutaj rano, gdy przywieźli pierwszą porcję swoich rzeczy. Deszcz bębnił o dach, głośno niczym grad, a range rover kołysał się pod wpływem wyjącego wiatru.

– Nie ma jak w domu! – oznajmił Ollie.

– Dlaczego ten dom nazywa się Cold Hill? – spytała Jade, cały czas skupiając się na swoim iPhone i intensywnie stukając w ekran.

– Ponieważ jesteśmy w wiosce Cold Hill, moja piękna – wyjaśnił, odpinając pas.

– A dlaczego ona się nazywa Cold Hill?

– Pewnie dlatego, że leży na północnym, mniej nasłonecznionym zboczcu wzgórza, a więc jest tam zimniej – odpowiedziała Caro.

Z obawą myśląc o tym, jak wiele czeka ją pracy, popatrzyła na świeżo odnowioną szarą fasadę, pomalowane na biało okna przesuwne i metalowe rusztowania ustawione przy kilku częściach posiadłości, które wciąż remontowano.

Żałowała, że nie sprzeciwiła się, kiedy po raz pierwszy

zobaczyli to miejsce. Ale wtedy było lato. Wokół rozciągały się pola żółtego rzepaku i pszenicy. Łąkę porastały dzikie kwiaty, pięcioakrowy trawnik został elegancko przystrzyżony, jezioro było gładkie jak lustro, pokryte liliami, a wierzba na malutkiej wyspie lśniła złociście w jaskrawym blasku słońca. Wokół pływało kilkadziesiąt kaczek i kaczątek oraz para łysek.

Teraz pola zmieniły się w jałowe błotniste ściernisko. Trawnik przed domem zarósł, a okna domu, które wtedy wydawały się pełne światła, obecnie sprawiały mroczne i ponure wrażenie, niczym zapadnięte ślepia nieświeżej ryby.

Weranda również wyglądała, jakby postarzała się o dwadzieścia lat od czasu ich ostatniej wizyty. Farba, która wtedy była świeża, już się łuszczyła. Mosięzna kołatka w kształcie lwiego łba, która poprzednio na pewno lśniła nowością, stała się matowa i zielonkawa. Na okrągłym podjeździe było więcej chwastów niż żwiru.

Dom stał opustoszały od ponad trzydziestu lat, odkąd jego część się zawaliła, jak poinformował ich niepoprawnie wesoły agent nieruchomości, Paul Jordan. Firma deweloperska, która kupiła posiadłość, zamierzała ją wyremontować i zmienić w dom starców, ale zbankrutowała, wykonawszy zaledwie niewielką część prac. Jordan z entuzjazmem opowiadał, jak wielkie możliwości daje taki dom. Potrzebny mu tylko właściciel z odpowiednią dozą wyobraźni. I Ollie, który miał świetny gust – a także wyobraźnię – zdołał przekonać żonę. Podczas piętnastu lat małżeństwa przeprowadzali się już trzykrotnie, kupując kolejne ruiny, remontując je i sprzedając z dobrym zyskiem. Dzięki temu, a także okrągłej sumce, którą zapłacono Olliemu za jego internetową wyszukiwarkę nieruchomości, mogli sobie pozwolić na zakup tej wielkiej ruiny. Ollie przekonał Caro, że w ciągu pięciu lat zdołają podwoić swoje fundusze, jeśli tylko zechcą się znów przeprowadzić.

– Boże, nie wierzę, że wreszcie jest nasz! – Ollie nachylił się i cmoknął żonę w policzek. – A ty, kochanie?

– No tak – odpowiedziała niepewnie. – Tak. Jest piękny. Tylko...

Z bliska widziała pęknięcia w tynku, plamy wilgoci na ścianie biblioteki, farbę obłazającą z okiennych ram. Dostrzegąca, jak trudne czeka ich zadanie.

– A jak będę się spotykała ze swoimi przyjaciółmi w Brighton? – wtrąciła się Jade. – Z Phoebe, Oliwią, Larą... no i z Ruarim?

Ruari był jej chłopakiem. Powiedziała rodzicom, że poprzedniego popołudnia ze łzami w oczach wypili ostatniego wspólnego shake'a o smaku jeżyn i mango w kawiarence Drury's przy Richardson Road, dwa kroki od ich starego domu.

– Tutaj regularnie kursuje autobus! – odrzekł Ollie.

– Jasne. Odjeżdża dwa razy dziennie z wioski, która jest półtora kilometra stąd.

– Mama i ja możemy cię wozić, kiedy będziesz chciała.

– Może teraz?

We wstecznym lusterku Ollie zauważył niewielkie volvo swoich teściów, a za nim ciężarówkę firmy przeprowadzkowej, która powoli zbliżała się podjazdem.

– Najpierw powinniśmy się wprowadzić do naszego nowego domu, nie sądzisz, kochanie?

– Chcę wrócić do siebie!

– Jesteś u siebie.

– Ten dom wygląda, jakby miał się zawalić.

Ollie uśmiechnął się szeroko i popatrzył na żonę.

– Tu jest cudownie. Będziemy tutaj bardzo szczęśliwi. Po prostu musimy się przyzwycząić do nowego stylu życia.

– Podobał mi się nasz dawny styl życia – odparła Jade. – Podobało mi się przy Carlisle Road.

Ollie ścisnął Caro za rękę. Odwzajemniła uścisk. Potem

odwróciła się w stronę córki.

– Zadbamy o to, żebyś mogła widywać się ze swoimi przyjaciółmi, kiedy tylko zechcesz. Zresztą będziesz tutaj miała nowych przyjaciół.

– Tak? Niby kogo? Krowy? Lamy? Alpaki?

Caro roześmiała się i zmierzwiła córce włosy. Jade z irytacją odsunęła głowę; nigdy nie lubiła, gdy ktoś dotykał jej fryzury. Caro bardzo pragnęła cieszyć się, że tutaj przyjechali, podzielać entuzjazm Olliego. Koniecznie chciała spróbować. Jako dziewczyna z miasta zawsze marzyła o mieszkaniu na wsi. Jednak tego deszczowego wrześnieowego dnia, w obliczu nadciągającej zimy, perspektywa ogromnego remontu ją zniechęcała. Poza tym jeszcze nigdy nie mieszkała gdzieś, gdzie nie było sąsiadów. Hałasu. Ludzi.

– Przecież kochasz zwierzęta, Jade – powiedziała. – Chciałaś mieć psa... teraz to będzie możliwe.

– Psa? – Jade nagle się ożywiła. – Naprawdę możemy mieć psa? Szczeniaczka?

– Tak! – potwierdziła Caro.

– Kiedy?

– Możemy zacząć rozglądać się po schroniskach, jak tylko się zadomowimy.

Jade wyraźnie się rozpogodziła.

– Jakiego psa?

– Rozejrzemy się! – odparł Ollie. – Myślę, że pies ratownik byłby niezły, nie sądzisz, moja piękna?

– Może coś puchatego? – spytała Jade. – Dużego i puchatego?

– Jasne – odpowiedział. – Dużego i puchatego.

– Na przykład labradoodle'a?

– Zobaczymy, kochanie! – odrzekła Caro ze śmiechem.

Ollie się uśmiechnął. Wszystko będzie dobrze. Ich życie jak ze snu w nowym domu jak ze snu. Cóż, w przyszłym domu,

mówiąc ściślej.

Caro uchyliła drzwi, a podmuch wiatru otworzył je na oścież, wyginając zawiasy, tak że lustro roztrzaskało się o przednią część karoserii.

- Siedem lat nieszczęścia! – zauważyła Jade.
- Dobrze, że nie jestem przesądny – powiedział Ollie.
- Ale mama jest – rzuciła z werwą Jade. – Już po nas!

3

Piątek, 4 września

– Cholera! – powiedział Ollie, stojąc na przenikliwym wietrze i deszczu i przyglądając się uszkodzonym drzwiom. – Idź na werandę, kochanie – zwrócił się do żony. – Ty też, Jade. Zaraz otworzę frontowe drzwi i przyniosę nasze rzeczy z samochodu.

– Za chwilę, tato – odrzekła Jade, wpatrując się w swój telefon.

– W porządku, pomogę ci – zaproponowała Caro.

Kiedy zeskoczyła na ziemię, otoczył ją ramieniem.

– Początek naszej nowej, pięknej przygody! – powiedział i ją pocałował.

Caro pokiwała głową.

– Tak.

Popatrzyła na rozległy front budynku i otoczony balustradą balkon nad werandą z kolumnami. Całość prezentowała się okazale. Przeprowadzili się tutaj z dużego wiktoriańskiego bliźniaka w Hove, niedaleko wybrzeża. On również robił wrażenie dzięki sześciu oknom od frontu i pięciu sypialniom. Tutaj było osiem sypialni – dziesięć, jeśli liczyć dwa pokoiki na poddaszu. Dom był ogromny. Przepiękny. Jednak doprowadzenie go do porządku będzie wymagało nie lada wysiłku. Odwracając twarz przed wiatrem, obejrzała się na Olliego, który usiłował zamknąć

drzwi samochodu. Zdawała sobie sprawę, że w ich głowach krąży zapewne bardzo odmienne myśli.

Wiedziała, że Ollie jest zachwycony, że ten dzień w końcu nadszedł i mogą się tu wprowadzić. Jego entuzjazm dodawał jej sił, ale kiedy wreszcie znaleźli się tutaj, pozostawiający za sobą spalone mosty, gdyż nowi lokatorzy już zamieszkali w ich poprzednim domu, nagle ogarnęło ją niewytłumaczalne zdenerwowanie. Denerwowała się mnóstwem spraw.

To miejsce było absurdalne. Przynajmniej co do tego byli zgodni. Całkowicie absurdalne. Zdecydowanie za duże. Za drogie. Zbyt odizolowane. Zbyt zniszczone. No i po prostu położone za daleko. Za daleko od przyjaciół, rodziny, sklepów. Od wszystkiego. Wymagało ogromnego nakładu pracy – począwszy od wymiany instalacji elektrycznej i wodociągowej. Wiele ram okiennych przegniło, a sznurki w oknach przesuwanych popękały. Poddasze nie było ocieplone, a w piwnicy panowała wilgoć, którą należało czym prędzej się zająć.

„Jest piękny, ale oszaleliście”, orzekła jej matka, kiedy zobaczyła dom. Ojciec nic nie powiedział, tylko wysiadł z auta i długo przyglądał się budynkowi, kręcąc głową.

Dlaczego?

Dlaczego?

Dlaczego się zgodziłam, zastanawiała się Caro.

Żadne z nich nigdy nie mieszkało na wsi. Byli mieszcuchami z krwi i kości.

„Trzeba mieć wyobraźnię”, powtarzał jej Ollie. Jego drętwi rodzice, przeciwko którym zawsze się buntował, przebywali teraz w domu starców, do którego trafili zdecydowanie za wcześnie. Im zawsze brakowało wyobraźni; zupełnie jakby ich całe życie stanowiło nieprzerwaną, zmuśną wędrówkę ku zagładzie. Akceptowali wszystkie dolegliwości wieku starczego, jak gdyby to był rodzaj oczyszczenia, które sami dla siebie

zaplanowali.

– Jasne, to ruina, ale mój Boże, kiedyś może się zmienić w coś pięknego – zawołał z entuzjazmem Ollie.

– Dom może być nawiedzony – odrzekła Caro.

– Wiem, że twoja matka, niech ją Bóg błogosławi, wierzy w duchy, ale ja nie. Nie boję się zmarłych, to żywi mnie przerażają.

Caro zrozumiała już na początku ich związku, że jeśli Ollie coś sobie postanowi, to nie sposób go od tego odwieść. Nie był głupi, miał głowę do interesów. Poza tym Caro nie przyznawała się do tego, ale podobała jej się wizja wystawnego wiejskiego życia, jako pani na włościach w domu Cold Hill.

Ollie cofnął rękę i otworzył tylne drzwi, jednak Jade wciąż wpatrywała się w telefon, całkowicie pochłonięta Instagramem.

– Wsiadaj, kochanie!

– Zaczekaj chwilę, to ważne!

– Wsiadaj! – powtórzył i odpiął jej pas, a następnie wyjął z auta klatki z kotami.

Jade skrzywiła się i założyła kaptur, po czym wepchnęła telefon do kieszeni bluzy, wyskoczyła z samochodu i pomknęła na werandę. Ollie przeniósł tam klatki, a potem podbiegł do samochodu, otworzył obie połowy tylnej klapy i kolejno ściągnął ze skrzyni dwie walizki.

Caro wyjęła z auta swój bagaż i ruszyła w ślad za mężem w stronę werandy. Ollie odstawił walizki i zaczął grzebać przy okazałym pęku kluczy, które dał mu agent nieruchomości. Wreszcie wybrał klucz, który uznał za właściwy, wsunął go do dziurki i przekręcił. Następnie pchnięciem otworzył ciężkie drzwi wejściowe, za którymi ukazał się długi, ciemny korytarz.

Na końcu korytarza po prawej stronie znajdowały się schody wiodące na pierwsze piętro, a za nimi – niewielki przedpokój wyłożony dębową boazerią, w którym były trzy pary drzwi. Agent nazwał to pomieszczenie atrium. Po lewej stronie mieściła się

jadalnia, po prawej kuchnia, a trzecie drzwi wychodziły bezpośrednio na teren na tyłach domu. Agent powiedział im, że dębina, z której wykonano boazerię, pochodzi podobno z „Agamemnona”, jednego z okrętów admirała Nelsona.

Olliego powitała silna woń pasty do podłóg, a także łagodniejszy, przyjemnie ostry zapach płynu do czyszczenia. Pracownicy firmy sprzątającej spędzili tutaj dwa dni, pucując wnętrza specjalnie dla nich. Ze względu na zły stan domu prawnicy sprzedawcy pozwolili im na urządzenie głównych części mieszkalnych przed zakończeniem transakcji.

Jade weszła za ojcem, niosąc klatki z kotami i rozglądając się z zaciekawieniem. Ollie rzucił obie walizki u podnóża schodów, a następnie pośpieszył z powrotem na zewnątrz, żeby przywitać się z teściami i ludźmi od przeprowadzek, z których pierwszy – olbrzym z ogoloną głową, ubrany w koszulkę z Meat Loafem i wiekowe sprane dżinsy – wyskoczył z kabiny i z podziwem patrzył na dom. Dwa dni wcześniej, kiedy pakowali ich dobytek w starym domu, z dumą przyznał się Olliemu, że niedawno wyszedł z więzienia, gdzie trafił za przestępstwo, o którym nie chciał opowiadać.

– Kupiłeś pan sobie cudną chatę! – stwierdził. – Świetna jest ta wieża. – Potem, najwyraźniej nie zwracając uwagi na pogodę, osłonił dłonią skręta z tytoniu, przybliżył się i porozumiewawczo wskazał głową pierwsze piętro wieży. – Planujesz pan tam zamykać żonkę, jak będzie miała humory?

Ollie uśmiechnął się szeroko.

– Tam będzie mój gabinet.

– Dobry wybór!

Ollie zobaczył matkę Caro gramolącą się z kierownicy volvo, czy też „ovlov”, jak żartobliwie nazywał ich auto. Ta dzielna dama, urzędniczka administracyjna w Brighton i Hove, Pamela Reilly, ubrana w skafander z kapturem i workowate wodoodporne

spodnie, wyglądała, jakby wybierała się na biegun.

Jej mąż, Dennis, który podobnie jak jego córka ciągle się czymś zamartwiał, cierpiał na wczesne stadium demencji i coraz częściej zdarzały mu się zaburzenia pamięci oraz nieobliczalne zachowania. Był emerytowanym aktuariuszem w Lloyds i ten zawód idealnie mu odpowiadał. Przez całą karierę zajmował się szacowaniem ryzyka, a teraz stosował te same umiejętności wobec wszystkiego, co go spotykało na emeryturze. Był drobnym, łysiejącym, łagodnym mężczyzną; jak zwykle miał na sobie trzyczęściowy tweedowy garnitur i krawat z herbem Londynu, a na wierzch założył podbity futrem płaszcz, który w połączeniu z czarną karakułową czapką upodabniał go do rosyjskiego oligarchy.

Dwadzieścia minut później, kiedy na kuchence gazowej zagotowała się woda i rozdano gościom kawę oraz herbatę w kubkach nie do kompletu – takich, jakie udało się znaleźć – i otwarto paczkę herbatników, ekipa była już dobrze zorganizowana. Caro stała u podnóża schodów, tuż przed atrium, i kierowała pracownikami firmy przeprowadzkowej, którzy wnosili kolejne pakunki. Dennis stał na szczycie schodów z listą, na której skrupulatna Caro rozpisала rozmieszczenie poszczególnych przedmiotów, i studiował ją ze zmarszczonym czołem, skupiony jak małe dziecko, od czasu do czasu rozglądając się z radosnym oszołomieniem. Jade wypuściła koty z klatek, zamknęła je w kuchni i ruszyła zwiedzać dom.

Ollie i Pamela stali na werandzie, sprawdzając na liście, które ze starannie oznakowanych pudeł powinny trafić do domu, a które do budynków gospodarczych na tyłach, do czasu, aż remont wewnątrz domu zostanie zakończony.

Olbrzym z ogoloną głową minął ich z uśmiechem, dźwigając potężne pudło z napisem SYPIALNIA 1 (GŁÓWNA).

Ollie odhaczył je na liście. Zajrzał do domu, gdzie Caro

sprawdziła etykietę na pudle i posłała mężczyznę na górę. Kiedy olbrzym zniknął im z oczu, Ollie zauważył jakiś cień, który przemknął przez atrium, niczym ptak przelatujący za oknem.

Jego teściowa odwróciła się do niego z uśmiechem, wytrzeszczając oczy z podekscytowania.

– Widziałeś? – spytała.

Pamela, chociaż była niezwykle szanowaną urzędniczką, miała słabość do tego, co nadprzyrodzone. Jeszcze na początku jego związku z Caro wyznała mu, że chociaż nie jest pewna, czy rzeczywiście posiada zdolności jasnowidzenia – cokolwiek to oznaczało – zawsze wiedziała, kiedy ktoś umrze, ponieważ uprzedzał ją o tym pewien sen. Pojawiały się w nim czarny kruk, jezioro oraz nagrobek z wyrytym imieniem danej osoby.

Co teraz zobaczyła?

Caro była już wystarczająco zaniepokojona przeprowadzką do tego odludnego domu, więc Ollie wolał, żeby matka dodatkowo jej nie straszyla. To ostatnie, czego potrzebowali pierwszego dnia pobytu, pierwszego dnia ich nowego, wymarzonego życia.

– Widziałeś? – powtórzyła.

Jej uśmiech nagle wydał mu się irytujący. Było w nim zadowolenie z siebie, jakby Pamela chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

– Nie – odparł z naciskiem. – Nie, niczego nie widziałem.